

# 1

## Ruby

Moje życie dzieli się na kolory:

Zielony – ważne!

Turkusowy – szkoła.

Różowy – komitet organizacyjny Maxton Hall.

Fioletowy – rodzina.

Pomarańczowy – odżywianie i sport.

Fioletowy (zrobić Ember fotki nowych ciuchów), zielony (kupić nowe markery) i turkusowy (po lekcji zapytać panią Wakefield o materiał na sprawdzian z matematyki) już dzisiaj załatwione. To z całą pewnością najwspanialsze uczucie na świecie: móc odhaczyć kolejny punkt na liście zadań do wykonania. Czasami nawet zapisuję na niej coś, co zrobiłam już dawno, tylko po to, żeby po chwili móc z przyjemnością wykreślić ten punkt, jednak używam do tego dyskretnej szarości, żeby nawet we własnych oczach nie być aż taką totalną kujonką.

Każdy, kto zajrzy do mojego notesu, natychmiast się zorientuje, że moja codzienność w ogromnej części składa się z zieleni, turkusu i różu. Jednak tydzień temu, na początku roku szkolnego, pojawił się nowy kolor.

Złoto – Oksford.

Pierwsze zadanie, które zapisałam nowym flamastrem, to: odebrać referencje od pana Suttona.

Przesuwam palcami po metalicznie połyskujących literach. Jeszcze tylko rok. Ostatni rok w szkole Maxton Hall. Nie chce mi się wierzyć, że to się wreszcie wydarzy. Być może już za trzysta sześćdziesiąt pięć dni będę siedziała na wykładzie o polityce, otoczona najinteligentniejszymi ludźmi na świecie.

Na samą myśl przeszywa mnie dreszcz podniecenia, bo już naprawdę całkiem niedługo okaże się, czy moje największe marzenie się spełni. Czy naprawdę mi się uda i będę mogła studiować. I to w Oksfordzie.

W mojej rodzinie jeszcze nikt nigdy nie studiował, więc rozumiem, dlaczego moi rodzice tylko uśmiechnęli się pod nosem, gdy po raz pierwszy oznajmiłam, że chcę studiować w Oksfordzie – i to filozofię, politologię i ekonomię. Miałam wtedy siedem lat. Ale nawet teraz, dziesięć lat później, niewiele się zmieniło poza tym, że mój cel jest coraz bliżej. Na wyciągnięcie ręki. Cały czas wydaje mi się, że to sen, że w ogóle dotarłam tak daleko. Ciągłe towarzyszy mi przerażająca myśl, że nagle się obudzę i okaże się, że to wszystko nieprawda, że dalej uczęszczam do swojej starej szkoły w Gormsey, nie do Maxton Hall, jednej z najlepszych prywatnych szkół w całej Anglii.

Rzucam okiem na zegar nad masywnymi drewnianymi drzwiami do klasy. Jeszcze trzy minuty. Już wczoraj wieczorem

zrobiłam zadania, nad którymi teraz pracujemy, więc nie pozostaje mi nic innego, jak czekać, aż lekcja wreszcie się skończy.

Niespokojnie poruszam nogą i natychmiast ktoś dyskretnie szturcha mnie w bok.

– Au! – Reaguję instynktownie, chcę odpowiedzieć tym samym, ale Lin jest szybsza i robi unik. Ma niewiarygodny refleks. Pewnie dlatego, że od podstawówki trenuje szermierkę. W tym sporcie trzeba atakować błyskawicznie jak kobra.

– Uspokój się wreszcie – odpowiada, nie odrywając wzroku od zapisanej kartki. – Działasz mi na nerwy.

Zaskakuje mnie. Lin nigdy się nie denerwuje. W każdym razie nigdy tego nie okazuje ani się do tego nie przyznaje. Jednak w tej chwili naprawdę dostrzegam w jej oczach cień niepokoju.

– Przykro mi, ale nie kontroluję tego. – Ponownie muskam palcami litery. Przez ostatnie dwa lata robiłam wszystko, co w mojej mocy, by dotrzymać kroku pozostałym uczniom. Żeby być coraz lepsza. Żeby udowodnić wszystkim, że mam prawo chodzić do Maxton Hall. Teraz, gdy zaczynają się procedury rekrutacyjne na studia, emocje biorą górę. Nie jestem w stanie nad nimi zapanować. Jednak odrobinę uspokaja mnie świadomość, że Lin czuje się podobnie.

– Plakaty dotarły? – pyta. Pochyliła się w moją stronę i kosmyk prostych czarnych włosów opada jej na twarz. Odgarnia go, poirytowana.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Jeszcze nie. Pewnie przywiozą je dzisiaj po południu.

– Dobra. Rozwiesimy je jutro po biologii, tak?

Wskazuję odpowiednią różową kropkę w swoim notesie i Lin z zadowoleniem kiwa głową. Ponownie zerkam na ze-

gar. Z najwyższym wysiłkiem powstrzymuję się, by ponownie nie poruszyć nogą. Zamiast tego, najdyskretniej jak potrafię, zaczynam pakować flamastry. Wszystkie muszą mieć skuwkę z tej samej strony, dlatego chwilę mi to zajmuje.

Złotego jednak jeszcze nie chowam, tylko z przejęciem wsuwam w wąską gumową pętelkę notesu. Oczywiście skuwką do przodu. Tylko tak wszystko jest w najlepszym porządku.

Kiedy wreszcie rozlega się dzwonek, Lin podrywa się z krzesła szybciej, niż wydawało mi się to możliwe.

Spoglądam na nią spod uniesionych brwi.

– Nie patrz tak na mnie – odpowiada i zarzuca sobie torbę na ramię. – Ty zaczęłaś!

Nie odpowiadam, tylko z uśmiechem pakuję swoje rzeczy.

Wychodzimy z sali jako pierwsze. Szybkimi krokami przemierzamy zachodnie skrzydło Maxton Hall i na najbliższym rozwidleniu skręcamy w lewo.

Podczas pierwszych tygodni nauki ciągle gubiłam się w ogromnym gmachu i nieraz spóźniałam się na lekcje. Było mi cholernie głupio, chociaż nauczyciele w kółko zapewniali mnie, że większość nowych uczniów błądzi w liceum podobnie jak ja. Szkoła przypomina zamek: pięć pięter, południowe, zachodnie i wschodnie skrzydła i jeszcze trzy dodatkowe budynki, w których odbywają się zajęcia z przedmiotów takich jak muzyka czy informatyka. Labirynt korytarzy i zakamarków, w którym można się pogubić, a także fakt, że nie każde schody prowadzą na kolejne piętro, mogą doprowadzić człowieka do szału. Na początku byłam jak dziecko we mgle, ale teraz znam Maxton Hall jak własną kieszeń. Jestem gotowa się założyć, że do gabinetu pana Suttona trafiłabym nawet z zawiązanymi oczami.

– Też powinnam była poprosić go o referencje – mamrocze Lin pod nosem, gdy wędrujemy długim korytarzem. Ścianę po naszej prawej stronie zdobią weneckie maski, projekt artystyczny zeszłorocznych maturzystów.

Już nieraz zatrzymywałam się przy nich i podziwiałam dopracowane szczegóły.

– Dlaczego? – pytam i notuję w głowie, aby zwrócić uwagę dozorczy, żeby zabezpieczył maski, zanim w weekend odbędzie się bal pod hasłem „powrót do szkoły”.

– Bo nas polubił, odkąd w zeszłym roku zorganizowałyśmy bal maturalny, i wie, jak bardzo jesteśmy zaangażowane i jak ciężko pracujemy. A poza tym jest młody, ambitny i sam dopiero co skończył Oksford. Jezu, jestem na siebie wściekła, że sama na to nie wpadłam.

Dotykam jej ramienia.

– Przecież pani Marr też studiowała w Oksfordzie. Poza tym może się okazać, że lepsze wrażenie robią referencje od kogoś, kto ma nieco więcej doświadczenia zawodowego niż pan Sutton.

Przygląda mi się podejrzliwie.

– Żałujesz, że zwróciłaś się akurat do niego?

W odpowiedzi tylko wzruszam ramionami. Pod koniec zeszłego roku szkolnego pan Sutton niechęć dowiedział się, jak bardzo zależy mi na studiach w Oksfordzie, i sam zaproponował, że opowie mi o wszystkim, co mnie interesuje. Chociaż wybrał inny kierunek niż ten, który mi się marzy, i tak udzielił mnóstwo przydatnych informacji, które chciwie chłonełam, a później starannie spisałam w notesie.

– Nie – odpowiadam w końcu. – Jestem pewna, że wie, co się liczy w referencjach.

Na końcu korytarza Lin skręca w lewo. Umawiamy się na telefon, a potem szybko się żegnamy. Nerwowo zerkam na zegarek – trzynasta dwadzieścia pięć – i przyspieszam kroku. Jestem umówiona z nauczycielem o trzynastej trzydziści i za żadne skarby nie chcę się spóźnić. Szybkim krokiem przechodzę obok wysokich renesansowych okien, przez które złote wrześniowe światło zalewa korytarz, i przeciskam się przez grupę uczniów, w takich samych niebieskich mundurkach jak ja.

Nikt mnie nie zauważa. Tak już jest w Maxton Hall. Choć wszyscy nosimy te same uniformy – spódniczki w niebiesko-zieloną kratę dla dziewcząt, beżowe spodnie dla chłopców i szyte na miarę granatowe marynarki dla wszystkich – nie sposób nie zauważyć, że tak naprawdę wcale tu nie pasuję. Moi rówieśnicy przychodzą do szkoły z eleganckimi torbami od znanych projektantów, podczas gdy mój zgniłozielony plecak jest miejscami tak przetarty, że każdego dnia obawiam się, że w końcu pęknie. Staram się tym nie przejmować, podobnie jak tym, że niektórzy zachowują się, jakby szkoła należała do nich, tylko dlatego że pochodzą z zamożnych rodzin. Dla nich jestem niewidzialna i robię wszystko, co w mojej mocy, żeby tak zostało.

Pod żadnym pozorem nie rzucać się w oczy. Do tej pory świetnie mi się to udawało.

Ze spuszczoną głową mijam pozostałych uczniów i po raz ostatni skręcam w prawo. Trzecie drzwi po lewej stronie to kantorek pana Suttona. Przy ścianie, między dwoma gabinetami, stoi masywna drewniana ława. Wodzę wzrokiem między nią a zegarkiem. Jeszcze dwie minuty.

Nie wytrzymam ani chwili dłużej. Zdecydowanym gestem wygładzam spódniczkę, poprawiam marynarkę, sprawdzam,

czy krawat jest na swoim miejscu. A potem podchodzę do drzwi i pukam.

I nic.

Z głośnym westchnieniem siadam jednak na ławie i rozglądam się. Może poszedł po coś do jedzenia. Albo po herbatę. Albo po kawę. Co przypomina mi, że dzisiaj niepotrzebnie ją wypiałam.

I bez tego byłam zdenerwowana, ale mama zaparzyła za dużo i nie chciałam jej wyłączyć. Teraz drżą mi ręce, gdy po raz kolejny zerkam na zegarek.

Trzynasta trzydzieści. Co do minuty.

Ponownie rozglądam się po korytarzu. Nikogo nie widać. Może za cicho pukałam. Albo... Na samą myśl serce bije mi szybciej – może to ja się pomyliłam. Umówiliśmy się nie na dzisiaj, tylko na jutro.

Nerwowo rozpinam plecak i wyjmuję notes. Zaglądam do środka. Nie, wszystko w porządku. Właściwy dzień i właściwa godzina.

Potrząsam głową i ponownie zapinam plecak. Zazwyczaj tak łatwo nie tracę nad sobą panowania, ale na samą myśl, że w procesie rekrutacji coś pójdzie nie tak i nie dostanę się do Oksfordu, wpadam w panikę.

Z najwyższym trudem biorę się w garść. Podejmuję decyzję, wstaję, podchodzę do drzwi i pukam kolejny raz. Tym razem coś słyszę. Jakby coś spadło na ziemię. Delikatnie otwieram drzwi i zaglądam do środka.

Serce podchodzi mi do gardła.

Dobrze słyszałam.

Pan Sutton tam jest.

Tylko że... nie sam.

Na jego biurku siedzi kobieta i całuje go namiętnie, a on stoi między jej nogami, trzyma za uda. Po chwili przyciąga ją mocniej do siebie, na skraj blatu. Gdy ich wargi ponownie się odnajdują, kobieta jęczy cicho w jego usta, wplata palce w jego ciemne włosy.

Sama nie wiem, gdzie jedno się kończy, a zaczyna drugie.

Chciałabym móc oderwać od nich wzrok.

Ale nie jestem w stanie, ani wtedy, gdy on wsuwa dłonie coraz dalej pod jej spódnicę, ani wtedy, gdy słyszę jego ciężki oddech i jej cichy szept:

– Boże, Graham.

Kiedy szok wreszcie odrobinę ustępuje, nie bardzo pamiętam, jak się chodzi.

Potykam się o próg, otwieram drzwi tak energicznie, że uderzają o ścianę. Pan Sutton i kobieta odsuwają się od siebie gwałtownie. On odwraca głowę i widzi mnie w progu. Otwieram usta, żeby się wytłumaczyć, ale jedyne, na co mnie stać, to suchy kaszel.

– Ruby – mówi pan Sutton bez tchu. Ma rozczochrane włosy, rozpięte górne guziki koszuli, rumieńce na twarzy. Wydaje się obcy, w niczym nie przypomina mojego nauczyciela.

Czuję, jak moje policzki stają w ogniu.

– Ja... Przepraszam. Myślałam, że się umówiliśmy...

Wtedy kobieta się odwraca i reszta zdania grzęźnie mi w gardle. Otwieram szeroko usta, ogarnia mnie fala lodowatego zimna. Przyglądam się dziewczynie. Jej turkusowe oczy są tak samo szeroko otwarte jak moje. Odruchowo opuszcza wzrok, wbija go w drogie szpilki, przesuwa na podłogę, a potem bezradnie patrzy na pana Suttona... Czy raczej Grahama, jak jeszcze przed chwilą go nazywała.



Znam ją. A konkretnie znam jej rdzawozłoty, starannie upięty koński ogon, który zawsze mam przed nosem na lekcjach historii.

Na lekcjach z panem Suttonem.

Dziewczyna, która przed chwilą całowała się z naszym nauczycielem, to Lydia Beaufort.

Kręci mi się w głowie. Poza tym jestem święcie przekonana, że lada chwila dopadną mnie mdłości.

Patrzę na nich i za wszelką cenę staram się wymazać z pamięci ostatnie minuty, ale to niemożliwe.

Wiem o tym ja i wiedzą pan Sutton i Lydia, widzę to na ich twarzach wyrażających szok. Cofam się o krok, a pan Sutton wyciąga rękę i rusza w moim kierunku. Kolejny raz potykam się o próg. W ostatniej chwili odzyskuję równowagę.

– Ruby... – zaczyna, ale szum w moich uszach przybiera na sile.

Odwracam się na pięcie i uciekam. Za plecami słyszę, jak pan Sutton kolejny raz powtarza moje imię, jeszcze głośniej.

Ale ja po prostu biegnę. Coraz dalej, byle dalej.

# 2

## James

W mojej czaszce szaleje młot pneumatyczny.

To pierwsze, co do mnie dociera, gdy powoli wracam do rzeczywistości. Drugie to ciepłe nagie ciało koło mnie.

Dyskretnie zerkam w bok, ale jedyne, co widzę, to fala złotych włosów. Nie pamiętam, bym z kimś wychodził z imprezy Wrena. Zamykam oczy i usiłuję przypomnieć sobie cokolwiek, co jeszcze zostałooby mi w głowie, ale przypominam sobie tylko niepowiązane ze sobą strzępki obrazów. Ja, pijany na stole. Głośny śmiech Wrena, gdy spadam i ląduję na ziemi u jego stóp. Ostrzegawczy wzrok Alistaira, gdy tańczę wtulony w jego starszą siostrę i napieram biodrami na jej pośladki.

O kurwa.

Delikatnie odgarniam dziewczynie włosy z twarzy.

O kurwa, kurwa, kurwa.

Alistair mnie zabije.

Siadam gwałtownie. Moją czaszkę przeszywa ostry ból, przez chwilę robi mi się czarno przed oczami. Elaine – siostra Alistaira – mamrocze coś niewyraźnie i przewraca się na drugi bok. Ja tymczasem orientuję się, że młot pneumatyczny to moja komórka, która leży na stoliku przy łóżku i wibruje. Nie zwracam na nią uwagi. Szukam swoich ubrań.

Jeden but znajduję koło łóżka, drugi tuż przy drzwiach, pod moimi czarnymi spodniami i paskiem. Koszula poniewiera się na fotelu obitym brązową skórą.

Wkładam ją, chcę zapiąć i wtedy zauważam, że brakuje kilku guzików. Wzdycham głośno. Oby Alistaira już nie było. Lepiej, żeby nie widział ani podartej koszuli, ani czerwonych zadrapań, które różowe paznokcie Elaine zostawiły na mojej klatce piersiowej.

Telefon nie daje za wygraną. Zerkam na wyświetlacz – dzwoni mój ojciec. Fantastycznie. Dochodzi druga po południu w środku tygodnia, boję się, że lada chwila pęknie mi głowa, i prawie na pewno poprzedniej nocy uprawiałem seks z Elaine Ellington. Ostatnie, czego mi jeszcze trzeba, to rozmowa z ojcem. Zdecydowanie odrzucam połączenie.

Oddałbym majątek za prysznic. I czyste ciuchy.

Ukradkiem wychodzę z pokoju gościnnego Wrena i najciszej jak potrafię zamykam drzwi. Schodzę na parter. Wszędzie widzę ślady ostatniej nocy – na poręczy wiszą stanik i inne sztuki odzieży, w całym salonie poniewierają się kubki, kieliszki i talerze z resztkami jedzenia. Powietrze wciąż pachnie alkoholem i tytoniem. Nie sposób się nie zorientować, że jeszcze kilka godzin temu trwała tu impreza.

W salonie zastaję Cyrila i Keshava. Cyril siedzi na eleganckiej białej kanapie, a Kesh na fotelu przy kominku. Dziew-

czyna na jego kolanach wplotła dłonie w jego długie ciemne włosy i całuje go namiętnie. Ci dwoje wyglądają, jakby impreza lada moment miała zacząć się na nowo. Kiedy Kesh odrywa się od niej na chwilę i mnie zauważa, odrzuca głowę do tyłu i śmieje się w głos. Pokazuję mu środkowy palec.

Przeszklone drzwi prowadzące do ogrodu państwa Fitzgerald stoją otworem. Wychodzę na dwór i natychmiast mrużę oczy. Choć słońce nie jest przesadnie intensywne, i tak mam wrażenie, że to ostrze przesywające mi mózg. Rozglądam się ostrożnie. Na dworze jest gorzej niż w domu.

Na leżakach przy basenie zastaję Wrena i Alistaira. Spletli ręce pod głowami i ukryli twarze za okularami przeciw słonecznymi. Waham się tylko przez moment, a potem powoli idę w ich kierunku.

– Beaufort – rzuca Wren radośnie i przesuwa okulary na ciemne kręcone włosy. Uśmiecha się szeroko, ale i tak widzę zmęczenie na jego ciemnobrązowej skórze. Ma potężnego kacza, jak ja. – Jak noc?

– Nie bardzo pamiętam – odpowiadam i z ukosa zerkam na Alistaira.

– Pieprz się, Beaufort – mruczy, nie patrząc na mnie. W południowym słońcu jego włosy mieniają się złociście. – Mówiłem ci, że masz się trzymać z dala od mojej siostry.

Spodziewałem się tej reakcji. Niewzruszony unoszę brew.

– Przecież nie zaciągnąłem jej siłą do łóżka. Zachowujesz się, jakby nie miała własnego rozumu i nie mogła sama decydować, z kim chce spać.

Alistair krzywi się z niesmakiem i mamrocze coś pod nosem.

Mam nadzieję, że szybko weźmie się w garść i nie będzie miał do mnie o to wieczne pretensji. Jakkolwiek by było,

czasu nie cofnę. A poza tym naprawdę nie mam ochoty tłumaczyć się przed przyjaciółmi. Wystarczająco często robię to w domu.

– Obyś tylko nie złamał jej serca – mówi w końcu Alistair i patrzy na mnie przez lustrzane szkła okularów. Chociaż nie widzę jego oczu, domyślam się, że jest w nich nie tyle złość, co raczej rezygnacja.

– Elaine zna Jamesa, odkąd miała pięć lat – zauważa Wren.  
– Dobrze wie, czego się po nim spodziewać.

Ma rację. Oboje z Elaine wiedzieliśmy, na co się decydujemy. I choć niewiele pamiętam z minionej nocy, cały czas mam w uszach jej zdyszany szept: tylko jeden raz, James. Jeden, jedyny raz.

Alistair nie chce przyjąć tego do wiadomości, ale jego siostra jest w gruncie rzeczy równie imprezowa jak ja.

– Jeśli dowiedzą się o tym twoi rodzice, zapewne od razu ogłoszą wasze zaręczyny – rzuca rozbawiony Wren.

Krzywię się lekko. Moi rodzice od dawna marzą o tym, żebym związał się z Elaine Ellington... Albo inną dziewczyną z równie dobrej rodziny, z równie wielkim majątkiem. Ale ja mam tylko osiemnaście lat i lepsze rzeczy do roboty niż zawracanie sobie głowy tym, co mnie czeka po ukończeniu szkoły.

Także Alistair prychnął pogardliwie. Perspektywa, że powita mnie w gronie swojej rodziny, podoba mu się równie mało, jak mnie. Dramatycznym gestem kładę sobie rękę na piersi.

– Jezu, czyżbyś nie chciał mnie za szwagra?

Teraz i on przesuwa okulary na jasne kręcone włosy i patrzy na mnie ciemnymi oczami. Powoli, jak drapieżny kot, unosi się z leżaka. Choć jest szczupły i drobny, wiem dosko-

nale, jaki jest szybki i silny. Nieraz przekonałem się o tym na własnej skórze podczas treningów.

Jego spojrzenie zdradza, co planuje.

– Ostrzegam cię, Alistair – mruczę i cofam się o krok.

Jest szybszy, niż można to sobie wyobrazić. Nagle stoi tuż przede mną.

– Ja też cię ostrzegałem – syczy. – Niestety nic sobie z tego nie robiłeś.

Wymierza mi solidny cios w klatkę piersiową. Zataczam się do tyłu, prosto do basenu. Uderzenie pozbawia mnie tchu, w pierwszej chwili nie wiem, gdzie jest powierzchnia, a gdzie dno. Woda szumi mi w uszach, ból głowy jeszcze przybiera na sile.

A jednak nie wypływam od razu. Pozwalam, by wszystkie mięśnie się rozluźniły. Wpatruję się w kafelki na dnie, choć widzę je niewyraźnie, i w myślach liczę sekundy. Na moment zamykam oczy. Otacza mnie niemal idealna cisza. Po pół minucie brakuje mi powietrza, ucisk w klatce piersiowej przybiera na sile. Po raz ostatni wypuszczam powietrze, czekam chwilę, a potem...

Alistair wskakuje do basenu i mnie chwytą. Wyciąga moją głowę z wody, a kiedy otwieram oczy i widzę jego przerażone spojrzenie, jednocześnie parskam śmiechem i chciwie nabieram powietrza.

– Beaufort! – krzyczy wściekły i rzuca się na mnie.

Trafia mnie pięścią w bok – Jezu, ależ potrafi przywalić – i usiłuje założyć mi nelsona. Ponieważ jest ode mnie drobniejszy, nie jest to takie proste, jak mu się wydawało. Mocujemy się przez chwilę, a potem biorę górę. Bez wysiłku podnoszę go i odrzucam jak najdalej od siebie.

Mam w uszach śmiech Wrena, gdy Alistair z głośnym plu-  
skiem wpada do wody. Wypływa po chwili i patrzy na mnie  
z taką wściekłością, że ponownie parskam śmiechem. Alista-  
ir, jak wszyscy Ellingtonowie, ma twarz anioła. Nawet kiedy  
chce wyglądać groźnie, jasnobrązowe oczy w połączeniu ze  
złotymi lokami i naprawdę idealnymi rysami twarzy najzwy-  
czajniej w świecie mu to uniemożliwiają.

– Straszny z ciebie fiut – stwierdza i pryska we mnie wodą.  
Ocieram twarz dłonią.

– Przykro mi, stary.

– W porządku – odpowiada, ale nadal opryskuje mnie wodą.  
W końcu przestaje. Patrzę na niego. Ze śmiechem kręci głową.  
I wtedy wiem, że między nami wszystko gra.

– James? – rozlega się znajomy głos.

Odwracam się gwałtownie. Moja siostra bliźniaczka stoi na  
krawędzi basenu, zasłaniając sobą słońce. Wczoraj nie było jej  
na imprezie i w pierwszej chwili myślę, że urządzi mi awantu-  
rę, że ani ja, ani moi kumple nie poszliśmy dzisiaj do szkoły.  
Ale potem przyglądam się jej uważnie i przeszywa mnie lodow-  
aty dreszcz: jest spięta, bezradnie zwiesiła ręce wzdłuż ciała.  
Unika naszego wzroku, wpatrzona we własne stopy.

Najszybciej jak potrafię podpływam do krawędzi basenu  
i wychodzę na brzeg. Nieważne, że jestem mokry, chwytam ją  
za barki i zmuszam, by podniosła głowę i na mnie spojrzała.

Mój żołądek robi salto. Jej twarz jest czerwona. Płakała.

– Co jest? – pytam i mocniej zaciskam dłonie na jej bar-  
kach. Chce odwrócić głowę, ale nie pozwalam na to. Przy-  
trzymuję jej podbródek, żeby nie uciekała wzrokiem.

Ma łzy w oczach. Coś ściska mnie za gardło.

– James... – szepcze ochryple. – Ale narobiłam.